


Mała ojczyzna - Stabieńszczyzna

Mała ojczyzna - Stabieńszczyzna

Kilkadziesiąt chałup rozrzuconych wokół jeziora Białe, z okien czasem widać domy sąsiadów, czasem tylko okoliczne wzgórza, łąki, po których tłumnie przechadzają się bociany, las, nad którym krążą drapieżniki, drugi brzeg jeziora, gdzie mieszkają bobry.

Stabieńszczyzna - jej nazwa wywodzi się prawdopodobnie od imienia litewskiego boga Stabasa, któremu dawni mieszkańcy tych ziem sypali kopce z kamieni. Dziś ich miejsce zajęły krzyże na rozstajach dróg. Dawno temu była tu ponoć żydowska karczma, teraz podobną funkcję pełni okoliczny sklep i bar, do których trzeba iść kawał drogi przez pola. Spora część mieszkańców to rolnicy, jednak niewielu się dobrze powodzi. Życie nie jest tu łatwe, zimą czasami tak zawieje, że najpierw musi przejechać traktor, który robi koleiny, by potem można było nimi przejść. Starsi umierają, młodzi szukają swojego miejsca daleko stąd, czasem całe rodziny wyjeżdżają w nadziei na łatwiejsze życie. Domy, które uda się sprzedać za bezcen, zamieniają się w letnie dachy, zaś te, na które nie ma chętnych, niszczeją, zarastają. O dawnej obecności ludzi w tym miejscu świadczą tylko wielkie sady owocowe, które wiosną bielą się z daleka a jesienią uginają od jabłek.

W jednym z najpiękniejszych zakątków wsi, nad jeziorem, stoi stary, drewniany dom. Kilka razy zmienił już  właścicieli. Jego obecnym gospodarzem jest Waldek Czechowski - reżyser, podróżnik, twórca inicjatywy "Eko-Art-Village". Jego chata to prawdziwa oaza sztuki. Zimą pomieszkuje tu Luka - malarz i rzeźbiarz. O jego bytności świadczą przedziwne obrazy malowane na fragmentach starych desek, podwórzowy Światowid strzegący tego miejsca swymi czterema twarzami, czy indiański łapacz snów upleciony z kolorowych nici i zawieszony na trójnogu w głębi podwórza. Bywali tu też poeci. Dzieła jednego z nich zdobią ściany i niskie sufity tej stuletniej chaty, w której zachowano tradycyjny wystrój. Pomiedzy starym piecem a drewnianym stołem można przeczytać: "Jaki ja, taki świat". Czasem chałupa nappełnia się muzyką. Dzieje się tak, kiedy przyjeżdża zaprzyjaźniona Kapela Źródłana, Teatr Wiejski "Węgałty", znajomy Józek ze swoimi siedmioma bębnami lub pan Karol grający pięknie na łyżkach. Odgłos muzyki niesie się po okolicy i często ściągają miejscowych, którzy przychodzą posiedzieć przy ognisku i pogadać o życiu.

Trzy lata temu Waldek zaprosił kilku przyjaciół do swojej stabieńskiej posiadłości, by poprowadzili obóz artystyczno-ekologiczny dla miejscowych dzieci. Ideą przewodnią tego pomysłu było pokazanie młodym mieszkańcom tej krainy, że to, co ich otacza, a więc piękna, dzika przyroda, wielokulturowa, barwna i żywa jeszcze w wielu miejscach tradycja, mają ogromną wartość, że warto je poznać i otoczyć opieką. Z drugiej strony chcieliśmy otworzyć przed nimi inne perspektywy, wskazać alternatywne do tego co znają sposoby życia. Pokazać, że można być otwartym na sztukę, ekologię, że warto kształcić się.

Na pierwsze spotkanie przyszło siedmioro miejscowych dzieci, wystraszonych, ale ciekawych tych dziwnych przyjezdnych, którzy na podwórzu w tipi stworzyli taką niby-szkołę. Rozmawia się w niej o podróżach, przyrodzie, marzeniach, rysuje, mówi do dorosłych po imieniu. Następnego dnia pod tipi czekała już dwunastka dzieciaków, później siedemnastka.


Gdy mocno padało a potrzebna była większa przestrzeń, przenieśliśmy się do jedynej nadającego

się do użytku budynku, którym była stara obórka. Wyremontowaliśmy ją trochę, wysprzątailiśmy i odtąd zaczęła wśród miejscowych funkcjonować jako galeria. Przy niej codziennie na pięciogodzinne zajęcia zbierały się dzieci. Z braku środków wszystko było bardzo skromne, materiały kupowane były z niewielkiej dotacji, jaką udało się zdobyć lub z pieniędzy prywatnych. Część rzeczy dzieci przynosiły same.

Mieliśmy też wielu gości, czasem niespodziewanych, jak chociażby Dava - Walijczyka, dziennikarza BBC, który przez lata przygotowywał relacje z krwawych wojen toczących się w azjatyckich dżunglach. Przyjechali też Hiszpanie, których ogniste flamenco, grane wieczorami przy ognisku, porywało do tańca.

Kończące obóz Święto Wioski okazało się wielkim sukcesem. Pierwszy raz od kilkadziesięciu lat spotkała się cała okolica. Odświętnie ubrani mieszkańcy przyszli podziwiać swoje dzieci, które wystąpiły w specjalnie dla nich napisanej sztuce - baśni opowiadającej o skarbie ukrytym na jeziorze Wigry. Sceną było całe podwórze, na którym ustawiono makiety zamków i klasztoru. Po przedstawieniu część rodziców nagle gdzieś zniknęła, lecz pojawiła się za chwilę niosąc talerze z ciastami, soczewiakami, pierogami. Ognisko, śpiewy i tańce przy muzyce Kapeli Źródlanej skończyły się dobrze po północy.

Nie było szans nie przyjechać na Stabieńszczyznę w następnym roku. Dzieci, jeśli tylko udało im się dopaść Waldka odwiedzającego swój dom, zasypywały go pytaniami, czy i w te wakacje będzie obóz.

Na zarośniętym podwórku czekała na nas trzydziestka dzieci z bliższej i dalszej okolicy. Nie było łatwo zająć  ledwo odrośnięte od ziemi kilkulatki i rezolutnych nastolatków. Na zajęciach z Jolą Różycką ze stowarzyszenia "Onjaty" powstawał piękny papier czerpany z ziołami i kwiatami z okolicznych łąk. Trev ze Szkocji uczył animacji kukiełek, które później wystąpiły razem z dziećmi w przedstawieniu. Odwiedziliśmy też miejscowego kowala, który z pasją i gawędziarskim talentem opowiadał, ile trudu potrzeba, by zrobić piękny i solidny przedmiot. Mówił też o tym, jak wyglądało tu życie kilkadziesiąt lat temu, kiedy ludzie niemal wszystko robili sami, kiedy w lasach mieszkaly wilki, jesienią i wiosną nieprzejezdne były bagna a podróż do miasta zajmowała dwa dni. Dzieci pochodzące z jednego z najuboższych, najmniej jeszcze zmienionych przez cywilizację regionów Polski słuchały tych opowieści jak legendy. Także tutaj, gdzie nieliczne domki wtopione są w piękną, dziką przyrodę, większość ludzi posiada samochody, krowy doją dojarki, chleb przejeżdża kilkadziesiąt kilometrów zanim trafi na stół, a o starych rzemiosłach przypominają zakurzone na strychach kołowrotki.

To, co najcenniejsze a często niedoceniane na Suwalszczyźnie to jej przyroda. Chodząc z dziećmi na długie spacery do lasu czy nad jezioro opowiadaliśmy, że mieszkając tutaj są strażnikami niezwykle cennego skarbu, o który trzeba dbać i z którego można być dumnym.

Stabieńszczanie to ludzie gościnni. Zdarzało się, że w drodze na zajęcia spotykaliśmy na kolejnych rozstajach dróg miejscowe gospodynie, które zapraszały nas na obiad lub kolacje. Nikogo nie zrażał nasz wegetarianizm, choć czasami jego interpretacja kulinarna była zaskakująca (kalafior na smalcu). Czasem natrafialiśmy na przedziwne kontrasty. Kiedyś będąc w gościnie u jednej z rodzin w bardzo skromnym wnętrzu i śpiewając z gospodarzami ludowe pieśni nagle przerwaliśmy w pół słowa, gdyż do izby wszedł młodziak wyglądający jak ktoś, kto przed chwilą opuścił warszawską

giełdę. Postać ta, która okazała się być synem gospodarzy, odziana w śnieżnobiałą koszulę i elegancki garnitur, wyjęła zza pieca plastikową tablicę, powiesiła ją na ochlapanej tłuszczem ścianie i zaczęła rysować wykresy, z których jasno wynikało, że najlepszą rzeczą, jaką możemy w tej chwili zrobić, to zapisać się do jednego z towarzystw ubezpieczeniowych. Siedzieliśmy wstrząśnięci kontrastem rysującym się pomiędzy postacią i otoczeniem a jednocześnie zadumani, że nawet w biednej chacie dopadła nas ta część cywilizacji, przed którą uciekamy.

Inne dające do myślenia spotkanie odbyło się w przeddzień kończącego obóz święta. Do naszej chałupy weszła delegacja kobiet, które wręczyły dwa półmetrowej wysokości sękacze. Był to dar wioski w podziękowaniu za pracę z dziećmi.

Minął rok i oto znowu stoimy na wzgórzu i patrzymy na błękit jeziora i błotniaki latające nad wodą. Jakbyśmy wrócili do domu. Znow będziemy ze studni w opuszczonym sadzie wyciągać uwięzione w niej żaby, dowiemy się do kogo w tym roku wróciły bociany, ile młodych wyprowadzą i dlaczego nie ma na jeziorze łabędzi.

Przed galerią, w której odbywają się zajęcia, czekają dzieciaki. Czterdziestka. Wydoroślały przez rok, spowaźniały, sporo też nowego drobiazgu przydreptało.

Oprócz zajęć plastycznych i teatralnych były wyprawy użyczonym przez wójta gimbusiem. Wypełniony po dach muzyką pomknął do Wigierskiego Parku Narodowego. Niektóre z dzieci w muzeum, podczas oglądania wystawy poświęconej tradycyjnym rzemiosłom tego regionu, spotkały stare kołowrotki, cebrzyki, skrzynie, ubrania i inne rzeczy ofiarowane przez ich dziadków i rodziców.

Odwiedziliśmy też prof. Andrzeja Strumiłło, który mieszka w pięknym dworku nad Czarną Hańcą. Światowej sławy artysta okazał się także świetnym gawędziarzem, który przez dwie godziny potrafi skupić uwagę szalejącej dzieciarni opowiadając o swoich podróżach po świecie, o sztuce, a przede wszystkim o zwierzętach, które znalazły tu swoją przystań. Odwiązany od drzewa, przy którym konał, ślepy pies Wtorek, piękna charcica z małymi i kilkanaście koni biegających po nadrzecznych łąkach były żywym dowodem na to, ile doświadczeń niesie ze sobą obcowanie ze zwierzętami.

Suwalszczyzna nazywana jest pograniczem kultur. Splatają się tu dzieje Polaków, Litwinów, Żydów, Białorusinów, Tatarów. Klimat tej specyficznej mieszanki można odnaleźć w Sejnach w Ośrodku "Pogranicze - sztuk, kultur, narodów". Jedną z atrakcji obozu była wizyta w tym znanym w Polsce i w Europie miejscu na koncercie Kapeli Klejzmerskiej, którą tworzy sejneńska młodzież.

Rozpadało się na dobre! Deszcz bębnił w dach wielkiej stodoły - pełniącej dziś rolę teatru - z całą siłą lipcowej ulewy, tak że nie było słyhać aktorów. Na drewnianych ścianach tego wiejskiego teatru wielkie, malowane na tekturze krowy wytrzeszczały oczy na niemal stuosobową widownię zgromadzoną na Święcie Wioski. Przydały się ćwiczenia głośnego mówienia. Przeobrażenie w ciągu pięciu dni małych, nieśmiałych mieszkańców suwalskiej wioski w deklamujących pełną piersią trudny tekst aktorów nie było łatwe. Dekoracje stylizowane na wnętrze wiejskiej chaty nie mokną, świece nie gasną, widzowie wygodnie rozsiedli się na sosnowych belkach i obserwują swoje latorośle, które opowiadają słowami cygańskich baśni i opowieści sybilijskich o otwartości na inność i o tym, że mądrość świata zawarta jest w szumie starych drzew, w czystej głębi jeziora, w mowie zwierząt. A tego wszystkiego mieszkańcy Suwalszczyzny mają pod dostatkiem - trzeba tylko nauczyć się słuchać i czytać z tej księgi...

